Dodatek do Nr. 4 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 2. Sobota, dnia 25-go Stycznia. Rok 1908

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Wtej samej chwili, młoda piękna pani, na prześlicznym karym koniu, przejeżdżając koło nas, upuściła różę, którą miała przypiętą do stanika. Schyliłem się, aby ją podnieść i oddać, ale pan jakiś, który właśnie nadbiegł, wyrwał mi ją z ręki i zabrał.

Pani się roześmiała.

— Winieneś pan coś chłopcu za fatygę, — rzekła, — to jemu zawdzięczasz moją różę.

Nieznajomy sięgnął do kieszeni i podał mi złotą monetę. Było to 10 franków.

— Chodźcie! — zawołała Zita, klaszcząc w ręce z radości, — mamy dosyć na dzisiaj.

I wszyscy troje pobiegliśmy do najbliższej garkuchni.

— Ty będziesz płacił, — rzekł Karlo, — a resztą się podzielimy.

Zgodziłem się chętnie na zapłacenie śniadania. ale nie miałem ochoty oddawać reszty pieniędzy.

Kiedyśmy zjedli, Karlo zażądał swojej części. Odmówiłem mu, lecz dał mi kułaka i przemocą zabrał wszystko. Chciałem się oddalić, ale zatrzymała mię Zita.

— Nie chodź, — prosiła, — Karlo bić mię będzie bez ciebie.

I zostałem.

Tak upłynęło pół roku. Arno i Karlo dokuczali mi okropnie; byłbym uciekł od nich po tygodniu, ale zatrzymała mię Zita. Płakała, gdy chciałem odchodzić, pieściła i całowała. Była dla mnie tak dobrą, jak jeszcze nikt w świecie. To też trzymałem się z nimi. Nakoniec zachorowałem. Nie mogłem podnieść się z łóżka, głowa ciężyła mi okropnie, nogi były jak drewniane, a mówiłem wcale co innego, niż chciałem.

Arno zbliżył się i popatrzał na mie.

— No, ten już nic nie zarobi, — rzekł ze szkaradnem spojrzeniem. — Nie myślę trzymać go dłużej. Szpitale przecież nie dla psów budują.

I wyszedł. Później uczułem, że mię niosą. Co było dalej, nie pamiętam. Po przebudzeniu ujrzałem się w wielkiej sali, gdzie stało mnóstwo łóżek, na których spoczywali jacyś nieznajomi, jęczący i skarżący się ludzie. Zakonnice przesuwały się cicho, mówiły szeptem, i przechodząc od łóżka do łóżka podawały bulion i lekarstwa.

Kiedy wyzdrowiałem, zapytano mię, dokąd się udam.

— Czy masz rodziców? — rzekła zakonnica. — Dlaczego cię nie odwiedzali?

Odpowiedziałem, że mieszkają daleko. Nie chciałem się przyznać, że nie mam nikogo. Bałem się, żeby mię nie zatrzymano.

— A czy wiesz, gdzie mieszkają? Masz pieniądze na drogę?

Miałem schowane dwie pięciofrankówki i pokazałem je dobrej siostrze.

Zakonnica wyszła, ale powróciła wkrótce i wcisnęła mi do ręki 20 franków. Miałem szczęście do pieniędzy. Kiedy się znalazłem na ulicy, namyślałem się chwilę, czy wrócić do Arna. Gdyby nie Zita, nie przyszłoby mi to do głowy. Ale ona była tak dobrą! Ona tylko i pani Menard. Poszedłem więc na piąte piętro. Drzwi zastałem zamknięte, a szwajcar mi powiedział, że wyjechali na prowincyę.

Byłem znów sam zupełnie.

— Nie miałeś szczęścia, biedaku! I wtedy zabrałeś się do zapałek?

— O, nie jeszcze, panie żołnierzu!

— Sierżancie! Cóż u dyabła, czy do wszystkiego masz taką tępą mózgownicę?

— Przepraszam. Chciałem powiedzieć: panie sierżancie.

— No, to uważaj! Cóż dalej? Sądząc po butach, zdaje mi się, że złoto odtąd nie wpadało ci do rąk tak często.

— Oj, to prawda, panie... sierżancie! straciłem szczęście do pieniędzy. Nie umiałem przytem ani śpiewać, ani grać na żadnym instrumencie. Gdybym choć miał białe szczury, albo małpę! Ale nie! Przestałem tańczyć, bo nie było Zity, która tak ładnie śpiewała i grała na tamburynie. Zresztą byłem taki obdarty! Otwierałem drzwi od powozów, zbierałem niedopałki cygar, ale cóż to wszystko znaczy? Później kręciłem się najczęściej po targu. Pomagałem kucharkom nosić koszyki i dostawałem za to bułkę, a niekiedy parę groszy. Sypiałem pod wozami z włoszczyzną i jarzynami, bywały jednak dni takie, że nic nie jadłem i nie miałem się gdzie

podziać ani schronić przed zimnem i słotą. Raz kiedy byłem właśnie bardzo głodny i nieszczęśliwy, rozmyślałem, siedząc na ławce w ogrodzie miejskim, gdzieby się można pożywić. Wtem spostrzegam dwoje dzieci w nowych jedwabnych sukienkach, które idąc obok siebie, częstowały się wzajemnie ciastkami.

Spojrzałem na nie z radością, a chociaż nie ośmieliłem się wyciągnąć ręki, oczy przemówiły widać za mnie, bo dziewczynka zatrzymała się koło ławki.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — zapytała.

— Bo jestem głodny.

— Zapewne byłeś niegrzeczny?

— Nie, to nie dlatego.

— Więc któż ci jeść zabrania?

— Jadłbym, ale nie mam co.

— Gastonie, — zawołała dziewczynka, zwracając się do towarzysza, — oddajmy mu nasze ciastka.

I całą paczkę położyła mi na kolanach.

Wstydziłem się, ale — jeść mi się chciało okropnie, nie czekałem więc, aż mię o to poprosi.

Dziewczynka pobiegła do bony, wysokiej panny w kapeluszu z kwiatami, i mówiła coś do niej, czego nie rozumiałem. Za chwilę powróciła i dała mi 10 su, mówiąc:

— Masz to tymczasem, a przyjdź jutro. Tatunio da ci pewno więcej.

Nazajutrz oczekiwałem na tej samej ławce.

Nakoniec ukazali się w alei. Niemłody pan jakiś, z miną bardzo surową, zbliżył się do mnie i zapytał, czem się zajmuję.

Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć.

— Ależ to włóczęga i próżniak wierutny, — rzekł, zwracając się do dziewczynki.

— Ach, tatku! żeby pracować, trzeba mieć książki i kajety, a on nie ma ich za co kupić.

Nieznajomy uściskał dziewczynkę, a mnie dał 10 franków, mówiąc:

— Masz, a postaraj się o jakie zajęcie.

I oddalił się w kierunku ulicy Rivoli, prowadząc córkę za rękę. Panienka obejrzała się na mnie kilka razy.

— I cóżeś zrobił z tymi dziesięciu frankami?

— Kupiłem pierwszą skrzynkę zapałek i usiłuję zarobić na życie. Ale nie tak to łatwo! Zdarzają się dni, kiedy z powodu wilgoci zapałki nie chcą się zapalać, a wtedy kupujący nazywają mnie oszustem, a nieraz i kułakiem poczęstują.

— Ale bo też głupie wybrałeś sobie rzemiosło! Na tej drodze nigdy nie zostaniesz człowiekiem.

— A cóż miałem robić? Nie znam nikogo, nic nie umiem....

— A chciałbyś być żołnierzem?

— Czy ja wiem!

— To mi zawód! Pułk człowiekowi zastąpi dom i rodzinę, a sztandar starczy za wszystko. A bitwy! A zwycięstwa! Huk dział, tętent koni, rozkazy wodzów i śmierć grożąca zewsząd, której się nikt nie lęka! Sapristi! Jakież to piękne!

— Pan widział to, panie sierżancie? A gdzie?

— Gdzie? Gdzieżby, dudku? na wojnie!

— Pan był na wojnie?

— Tak, mój chłopcze. I nie na jednej. W Afryce naprzykład pod marszałkiem Buigo'em. Oho! dużo człowiek widział.

— I pan zabijał ludzi?

Przestrach wyraźny malował się w oczach chłopca, patrzał na starego żołnierza z otwartemi ustami.

— To nie wiadomo, — odparł ten ostatni, — słucha się komendy i basta. Kula nie mówi, gdzie poleci. Co innego na bagnety. Raz, pamiętam, w Afryce wyszliśmy na rekonesans i nadziewamy się prosto na Arabów. Ukazali nam się tak nagle, że nim zdążyliśmy się sformować, mieliśmy ich już na karku. Jakiś olbrzymi Arab z czarną brodą mierzy do mnie z pistoletu... Na szczęście proch mu zamókł, jak twoje zapałki, a ja tymczasem przebijam go bagnetem... Ani pisnął i zwalił się z konia jak długi.

Malec zbladł i odsunął się na sam koniec ławki.

— Boisz się, dudku? Stary głupiec ze mnie, licho wie, po co ci to opowiadam! szkoda twego czasu. Masz dziesięć su, a przyjdź jutro; pomówię o tobie z kapitanem Daufinem.

Sierżant wstał i z twarzą zasępioną skierował się ku domowi.

W nocy spać nie mógł. Smutne oczy chłopca i jego blada twarzyczka stały mu ciągle w pamięci.

Co też z sobą zrobił biedaczysko? Gdzie się udał na noc? Takie to wątłe, takie to małe jeszcze, i samo — o własnej sile!

Serce mu się ściskało; przewracał się niespokojnie, nie mogąc doczekać świtu. Wydawało mu się zbrodnią spać smacznie, gdy tam bezbronne dziecko nie ma cichego schronienia przed tą ciemnością i wichrem.

— Pewno się tuli pod mostem, lub drży gdzie na wiązce siana, kiedy ja się tu wylegam na wygodnym materacu! Ach, gdybym mógł mu ustąpić kącik w mojem łóżku, o ileż spałbym spokojniej! Ha, trzeba o tem pomyśleć, pójdę jutro do kapitana, może on mi co poradzi.

III.
W szpitalu.

Nazajutrz od samego rana sierżant przechadzał się po dziedzińcu obszernego Domu Inwalidów, nie spuszczając z oczu drzwi, prowadzących do kancelaryi.

Około dziesiątej ukazał się w nich nareszcie niemłody już oficer. Gaveau zbliżył się do niego.

— Przepraszam pana kapitana — rzekł, salutując — mam interes... czy mogę mówić?

— A, to ty, Gaveau! o cóż chodzi!

— Czy trudno byłoby umieścić znajomego mi chłopca w szkole dzieci żołnierskich?

— Hm, to zależy. Cóż to za chłopiec? Czy twój krewny?

— Nie, panie kapitanie, ale mały ma głos i oczy, które za serce chwytają. Kiedy na niego patrzę, czuję, że taka krzywda nie powinna dziać się na świecie. Dziecko w tym wieku, samo jedno...

I sierżant bliżki był płaczu.

Kapitan brwi zmarszczył.

— Co ty pleciesz, Gaveau? Nic nie rozumiem. Co to za chłopiec? Mów wyraźnie i prędko, bo nie mam czasu.

— A to tak, panie kapitanie: nie mam żony ani dziecka, nie hoduję psów ani ptaków, nie jestem nikomu potrzebny, a często bywam tak samotny, jak rozbitek na morzu. Chłopca tego spotkałem przypadkiem, ale przywiązałem się do niego i chciałbym z niego zrobić człowieka. On mię potrzebuje, a ja jego. Byłbym taki szczęśliwy, gdybym go

mógł umieścić w szkole dzieci żołnierskich. Wiem, że pozyskałby sobie wkrótce wszystkich!

— To będzie trudno, mój kochany Gaveau; wiesz przecie, że do tej szkoły przyjmują tylko dzieci żołnierzy.

Sierżant zwiesił głowę.

— Więc to niemożliwe? — zapytał.

Kapitan milczał.

— W każdym razie bardzo trudne — odparł po małej pauzie. — Ale nie martw się przed czasem, zobaczę, co będę mógł zrobić dla twego protegowanego.

I oddalił się, zostawiając sierżanta, pogrążonego w myślach o karyerze przyszłego marszałka Francyi.

Rozmyślania te wkrótce przerwał odgłos bębna i muzyki: batalion dzieci żołnierskich z bronią na ramieniu defilował przed gmachem Inwalidów. Malcy w czerwonych kepi, wciśniętych z fantazyą na ucho, prezentowali się dzielnie. Sierżant patrzał na nich z zazdrością.

— Czy Izydor znajdzie się kiedy w jednym z tych szeregów? — myślał smutnie. — A jakby mu ładnie było w kepi i uniformie! Maszerowałby pewno nie gorzej od innych!

I westchnął.

O czwartej, jak codzień, skierował się w stronę Esplanady. Zajął zwykłe miejsce na ławce i czekał. Ale minęła piąta, potem szósta, a chłopiec nie pokazał się wcale. Głos bębna dał się wreszcie słyszeć i Gaveau, niespokojny o małego przyjaciela, z niczem powrócił do domu.

W nocy spał źle, a nazajutrz o czwartej był znowu na posterunku.

Ale mały i dzisiaj nie przyszedł.

Tego już było nadto, cierpliwość sierżanta była wyczerpaną.

— Stary idyota ze mnie! — mruczał, gniewnie stukając swoją drewnianą nogą. — Choć z drugiej strony, co za interes mógłby mieć ten smarkacz, wyprowadzając mię w pole? Przecież nie dla głupich kilku su, które wyłudził?... A jeśli myśli, że pozwolę się wyzyskiwać, że będę pobłażał jego oszustwu i wybrykom, to myli się bardzo! Nie tędy droga, dudku! Do kroćset! Ze starego wiarusa kpić niewolno!... Bo gdyby nawet przypuścić, że znalazł jakie zajęcie?... Nie maczasu?... Hm!... Ale dlaczegoż błazen nie daje znaku życia?

Dni upływały tymczasem bez zmiany i sierżant pomimo całej pobłażliwości dla pięknych oczu Izydora, zwątpił już o nim na dobre. Wspomnienie chłopca zaczynało zwolna zacierać się w jego pamięci.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dziejów sztucznego światła.

II.

Takie lampy, a właściwie kaganki, miały wszakże jedną i to bardzo wielką wadę, że kopciły; spostrzeżono jednak już koło połowy XVI w., że lampy takie o wiele mniej kopcą, jeżeli się je umieści w latarni. Dochodzono przyczyny tego i przekonano się, iż jest nią lepszy ciąg powietrza w latarni, niż w wolnym przestworze. Dano przeto nad światłem takiej lampki cylinder blaszany, który oczywiście nie zasłaniając światła, sprawiał lepszy przeciąg powietrza, a przeto dawał światło jaśniejsze i mniejsze kopcenie. Był to w zakresie konstrukcyi lamp niewątpliwie znaczny już postęp. Taki stan utrzymał się do roku 1783, w którym Leyer w Paryżu okrągłemu knotowi pełnemu nadał postać płaskiej taśmy, który następnie Aryand przez zwinięcie w trąbkę dał formę koła na przecięciu poprzecznem, dotychczas używaną. Tymczasem w roku 1789 zrobiono ważny bardzo krok naprzód: cylinder blaszany zmienili Argand i Quinet na szklany i zasunęli oczywiście na sam płomień, co wszelkie kopcenie przy zachowaniu jakiej takiej uwagi odrazu usunęło prawie zupełnie. Takie lampy, już bardzo znacznie ulepszone, poprawiono jeszcze przez urządzenie dowolnego obniżania lub podwyższania knota, co, ponieważ miarkowało czyli moderowało płomień, nadało lampom w nie zaopatrzonym nazwę z „moderatorem".

Wśród tych poprawek lamp olejnych w ostatnich latach wieku XVIII, otrzymał olej rzepakowy konkurenta w postaci gazu świetlnego z węgla mineralnego. Jakoż jeszcze w roku 1786 oświecano tym gazem gdzieniegdzie domy w Anglii, w roku zaś 1805 oświetlono nim pewną przędzalnię bawełny w Manchesterze, w roku 1811 zaprowadzono oświetlenie gazem ulic i placów publicznych w Londynie, za którym poszły w roku 1818 Wiedeń, w r. 1825 Hanower, w roku zaś 1826 Berlin. Płomienie gazowe miały postać motyli, a służyły do nich palniki w wązką szparę do wypływania gazu zaopatrzone. W tym stanie oświecanie gazem utrzymywało się bez zmiany całe dziesiątki lat.

Rzecz prosta, iż oświetlanie gazem ograniczało się do miast przeważnie większych, do bardzo wielkich fabryk i zakładów, a nawet na kolejach żelaznych znalazło zastosowanie tylko w obrębie wielkich stacyi. Dlatego wobec poczucia potrzeby coraz lepszego i mocniejszego oświetlenia, powitała ludność z radością ukazanie się nowego materyału do świecenia, oleju skalnego, naprzód w Ameryce do tego celu użytego. Wprawdzie surowy olej skalny okazał się nieodpowiednim do świecenia z wielu przyczyn, których tu tłómaczyć nie można, ale wkrótce nauczono się go oczyszczać i robić stosownym do wydawania światła mocnego i co rzecz bardzo ważna, taniego. A chociaż oczyszczony olej skalny, naftą pospolicie zwany, nie zdołał wyrugować droższego od siebie gazu, to jednakowoż nafta usunęła prawie zupełnie wszystkie inne sposoby świecenia z całej kuli ziemskiej, z wyjątkiem odległych zakątków Syberyi i krajów zamieszkanych przez Eskimosów, którzy zostali przy świeceniu tranem.

Tak przez pewien czas panowały obok siebie gaz i nafta, każde na swem terytoryum; miasta coraz częściej zaprowadzały u siebie oświetlenie gazowe, gdy inne osady ludzkie, jak małe miasta, wsie i domy prywatne zajmowała coraz więcej nafta, dając światu wprawdzie mocne i tanie, ale pod wielorakim względem niebezpieczne światło. Tak było przez dwadzieścia lat. Palniki gazowe zachowywały zawsze formę dającą płomień w kształcie motyla, a lampy naftowe ulepszano powoli i nieznacznie.

Nagle wśród tego spokoju, ukazał się niespodziewany konkurent w postaci elektryczności. Wprawdzie jeszcze za panowania wyłącznego nafty i gazu, a właściwie już o wiele wcześniej, bo od r. 1821, znano światło elektryczne wydobywane z ogniw galwanicznych, drogą energii chemicznej i wprawdzie Napoleon III, gdy stał na szczycie swej

potęgi, a raczej tylko jej uroku, przyjmował u siebie władców świata wspaniałemi iluminacyami przy pomocy światła elektrycznego, to jednakowóż trudności techniczne, koszt, a nawet niepewność, nie pozwalały na użycie takiego światła elektrycznego w codziennem życiu. Dopiero odkrycie przez Wernera Siemensa możności wytwarzania tanio bardzo mocnych prądów elektrycznych, drogą energii mechanicznej, pokazało zdumionemu światu nowy, a praktyczny sposób otrzymywania bardzo mocnego światła, o którem nie miano pojęcia, iżby kiedykolwiek dało się uzyskać.

W ten sposób powstało elektryczne światło łukowe, między dwoma kawałkami węgla stosownie przysposobionego. To światło jednak, jakkolwiek wyborne do wielkich przestrzeni, jak ulic i placów publicznych, dworców kolejowych, wielkich hal, do rzucania światła z latarń morskich lub w celu wytropienia w nocy nieprzyjaciela, i t. p., nie nadaje się do ogólnego użytku z wielorakich powodów, jak mianowicie drogości, zbyt wielkiej mocy i cienia całkiem czarnego, tudzież barwy śnieżnobiałej, czemu atoli zaradzić można przez ilościowe zabarwienie. Dlatego słynny i dotychczas czynny Tomasz Edison, pracował nad wynalezieniem małych lampek elektrycznych, aż wreszcie wynalazł żarowe światło elektryczne, w którem ciałem świecącem jest rozżarzona od prądu elektrycznego pętla z węgla stosownie przyrządzonego.

Jeżeli światło łukowe mimo swej nieporównanej mocy nie zaszkodziło w praktyce światłu gazowemu i jego dawnym palnikom, dającym płomień motylowy, to po wynalezieniu przez Edisona elektrycznych lamp żarowych, zdawało się, iż gaz i gazownie poniosą cios śmiertelny. Wprawdzie wyrachowano, że przy równej mocy światło gazowe wypada taniej, niż elektryczne, to jednakowóż wobec ogólnego pociągu do nowości i łatwiejszej z elektrycznością manipulacyi, różnica w cenie nie bardzo wchodziła pod uwagę.

PRAKTYCZNE RADY.

Pożywienie nasze w porze zimowej powinno znacznie się różnić od pokarmów pożywanych w lecie. Chłodne zupy, zimne potrawy niestósowne byłyby w porze zimnej, w której jedzenie nie tylko służy do odżywiania ciała, lecz powinno także mu przysporzyć ciepła. W tym właśnie celu spożywamy w porze zimowej więcej rosołów i innych zup gotowanych na mięsie i zjadamy o wiele większą ilość tłuszczu i to w najrozmaitszej formie.

Dobra gospodyni powinna zatem się starać o zapasy mięsa wieprzowego i rozmaite zeń przyrządzać potrawy.

Jedna z najlepszych a zarazem najtańszych potraw mięsnych są kiszki z kaszy, które można przyrządzić następującym sposobem:

Wziąść 1½ lub 2 funty mięsa wieprzowego z głowy, które jest tańsze niż inne; ugotować miękko z dodatkiem kilku ziarnek pieprzu, listka i cebuli. Po ugotowaniu posiekać mięso na drobne kawałki, gorącym zaś rosołem zalać funt grubej jęczmiennej kaszy i postawić ją na gorącej płacie, aby dobrze rozmiękła. Potem umieszać kaszę z posiekanem mięsem i dodać 1 litr lub trochę mniej krwi wieprzowej, soli, tłuczonego pieprzu i wymięszawszy dobrze, nadziewać tą masą krótkie, niezbyt szerokie flaki. Kiszki powinny być luźne, aby w gotowaniu nie pękały i mocno zawiązane.

Gotowanie kiszek powinno odbywać się wolno, lecz długo. Niedogotowane kiszki psują się bardzo prędko, a wtedy stają się wprost niebezpieczne dla zdrowia.

Dla przekonania się, czy kiszki są zupełnie ugotowane, należy przekłuwać je szpilką i uważać, czy krew wydobywająca się z nich jest już czarna. Po ugotowaniu ułożyć kiszki na płaskiem naczyniu, a gdy ostygną, powiesić w zimnem, suchem miejscu, gdzie dobrze sie przechowują. Kiszki takie odgrzane lub smażone na patelni stanowią bardzo dobrą i zdrową potrawę; bez porównania są lepsze a przytem tańsze, niż kiszki kupione u rzeźnika.

Podobnym sposobem można przyrządzić bardzo smaczne kiszki z mięsa (z brzucha lub głowy) z odpowiednią ilością krwi.

Kiszki domowej roboty są zazwyczaj o wiele lepsze niż rzeźnickie, gdyż bierze się do nich tylko dobre świeże mięso. Nie powinna przeto gospodyni domu żałować trudu, lecz w zimie przygotować zapas kiszek, a oszczędzi tym sposobem sporo pieniędzy i dostarczy rodzinie potraw zdrowych i smacznych. **M. G.**

Przepis przesmażania oleju rzepakowego do jedzenia.

W garncowy rondel wlać oleju rzepakowego pół garnca, postawić go na ogniu, a gdy się dobrze rozgrzeje, odsunąwszy go trochę z blachy, pryskać w niego po kilka kropel wody palcami, czyniąc to przez pół godziny, w ciągu czego olej szumi i gorycz z niego uchodzi. Ukończywszy to działanie, zdjąć ostrożnie rondel i postawiwszy go na dworze na ziemi, wrzucać w niego pokrajane w talarki cztery cebule, dwa buraczki, kilka kartofli i dwa jabłka, wrzucając to wszystko powoli, oddzielnie gdyż za każdem wrzuceniem, olej się zagotowywa; gdy dobrze przestygnie, przecedzić przez rzadkie płótno i zlać w butelki.

Na mole,

gdy się zagnieździły w meblach wyściełanych, zwykłe środki jak kamfora, naftalina, tynktury i t. p. nie wystarczają. Pomijając już brzydki zapach, jakim środki te przesycają powietrze i uprzykrzają oddech, nie można ich uważać za skuteczniejszy od lewandy, macierzanki lub innych środków, które zagnieżdżonych szkodników zupełnie wypłoszyć nie zdołają. Najlepiej wszelkie meble wyściełane umieścić w jednym pokoju, pozamykać drzwi i okna, i na metalowej blaszcze lub też w jakiem innem naczyniu ogniotrwałem zapalić sporą dawkę zielonego proszku na owady lub też siarki. Siarkę w naczyniach zapala się rozżarzonym kawałkiem żelaza np. gwoździem. Wytworzone gazy w zamkniętym na 24 godzin pokoju oddziałują zabójczo na mole.

Pierwsza pomoc przy zachłyśnięciu.

Należy podnieść ręce dziecka do góry i trzymać je wyprostowane w tej pozycyi; skutkiem tego rozszerza się klatka piersiowa i przypadłość natychmiast ustaje